

Święty Augustyn – „Wyznania”

<Księga III>

Spis treści

1. Przybyłem do Kartaginy i od razu znalazłem się we wrzącym kotle erotyki.	1
3. Ale unosiło się nade mną, wysoko, wysoko w górze, wierne miłosierdzie Twoje	4
4. W ich towarzystwie studiowałem w owych niedojrzałych jeszcze latach książki poświęcone sztuce oratorskiej	5
5. Postanowiłem więc zbadać księgi Pisma Świętego	7
6. I niebawem wpadłem w towarzystwo ludzi zarozumiale bredzących	7
7. Nie znałem innych rzeczy naprawdę istniejących	10
10. Nie rozumiejąc tych spraw, szydziłem ze świętych Twoich sług i proroków.....	16
11. Ale wyciągnąłeś rękę z wysoka i wydobyłeś duszę mą z tej ciemnej przepaści.	17
12. Jak pamiętam, jeszcze raz przemówiłeś w owym okresie do niej.....	19

1. Przybyłem do Kartaginy i od razu znalazłem się we wrzącym kotle erotyki. Jeszcze się nie zakochałem, a już kochałem samą myśl o zakochaniu. Odczucie, że czegoś mi brakuje, budziło we mnie wzdęty dla siebie samego za to, że nie dość mocno się starałem o usunięcie tego braku. Szukałem przedmiotu miłości. Samo bowiem kochanie kochałem, a gardziłem bezpieczeństwem, drogami bez wilczych dołów. Tak naprawdę potrzeba mi było pokarmu wewnętrznego, Ciebie samego, Boże mój — ale tego głodu nie uświadamiałem sobie. Nie garnałem się do pokarmów niezniszczalnych. Nie znaczy to, że byłem nimi przesycony. Nie, im bardziej mi ich brakowało, tym większą do nich odczuwałem niechęć. Nic więc dziwnego, że dusza moja chorowała, okryła się wrzodami i rozpaczliwie pragnęła ocierać się w świecie

zewnątrznym o coraz to nowe wrażenia. Same jednak doznania zmysłowe nie mogłyby być przedmiotem miłości, gdyby im nie towarzyszyły przeżycia duchowe. To było moim marzeniem: kochać i być kochanym wzajemnie, i radować się ciałem owej istoty kochającej. Strumień przyjaźni, z natury jasny i przejrzysty, zamącałem mroczną, spokrewnioną z piekłem zmysłowością.

A w tej niegodziwości byłem tak próżny, że chciałem uchodzić za człowieka wytwornego i bardzo kulturalnego. Pograżyłem się też wreszcie w takim romansie, jakiego szukałem. Boże, Boże miłosierny, jakże gorzką żółcią pokropiłeś tę błogość — i jakąż dobroć mi przez to okazałeś. Byłem wtedy kochany wzajemnie i w ukryciu dałem się spętać łańcuchami wypełnienia. Ochoczo oplotłem siebie więzami udreki. Chłostany byłem żelaznymi, rozpalonymi prętami zazdrości i podejrzeń, lęku, gniewu, sporów.

2. Bardzo mnie wtedy pociągały widowiska teatralne, bo były pełne obrazów mojej niedoli i jeszcze podsycaly ogień, jaki mnie palił.

Dlaczego człowiek lubi się smucić oglądaniem na scenie takich bolesnych, tragicznych wydarzeń, jakich na pewno nie chciałby doznać w życiu? Ogląda sztuki teatralne właśnie po to, żeby się smucić; smutek jest tym, czego W nich szuka. Czyż to nie obłąd godny zadziwienia? W im mniejszym stopniu człowiek ten jest wolny od takich namiętności, tym bardziej go owe widowiska poruszają. Ale kiedy sam doznaje cierpień, mówimy, że jest nieszczęśliwy. Kiedy zaś współczuje innym, nazywa się to miłosierdziem.

Jakież jednak może być miłosierdzie w odniesieniu do fikcji rozgrywającej się na scenie? Nie wzywa się tu widza na pomoc, lecz tylko do tego się go zaprasza, by oklaskiwał autora. Jeśli zaś owe ludzkie klęski dawne albo urojone tak są

odgrywane, że widz się nimi nie smuci, to odchodzi on rozczarowany i krytykuje przedstawienie. Jeśli go ono przygnębiło, to wpatruje się jak zakłęty i z satysfakcją łyży leje. Lubi się więc łyży i smutek? Z pewnością każdy człowiek dąży do radości. Ale chociaż nikt nie ma ochoty być nieszczęśliwy, może jednak chciałby być miłosierny? A ponieważ nie jest to możliwe bez smutku, więc może właśnie dlatego i tylko dlatego lubi się smutek. Wszystko by zatem wypływało ze strumienia przyjaźni. Ale ten strumień — dokądże on zmierza? Czemu wpada do wodospadu smoły wrzącej, do okropnej, rozpalonej lawiny pożądania?

Przecież z własnej chęci tu się kieruje, a od niebiańskiej pogody się odwraca. Trzebaż więc odepchnąć miłosierdzie? Na pewno nie! Czasem dobrze jest lubić smutek. Lecz chroniąc się pod skrzydła Boga mego, Boga ojców naszych, chwalebne, wywyższonego na wieki wieków, strzeż się, duszo moja, nieczystości. Obecnie też się przecież lituję. Ale wtedy w teatrach uczestniczyłem w radości kochanków, gdy występnie radowali się sobą, chociaż to się tylko fikcyjnie rozgrywało na scenie. Gdy zaś byli rozłączeni, smuciłem się jakby tknięty litością. I jedno, i drugie było dla mnie przyjemne. Teraz zaś bardziej lituję się nad tym, kto przeżywa radość występna, niż nad tym, kto się smuci utratą rozkoszy niegodziwej i takiego szczęścia które w istocie było niedolą. Prawdziwsza to jest litość, ale smutek, jaki ją przenika, nie jest źródłem przyjemności.

Chociaż bowiem człowiek, który się smuci cudzym cierpieniem, zasługuje na pochwałę za swe miłosierdzie, wolałby on przecież, jeśli jego współczucie jest szczerze, żeby nie istniała przyczyna jego smutku. Gdyby możliwy był paradoks — na pewno niemożliwy! — niezycziwej życziwości, to mógłby człowiek, który prawdziwie i szczerze

się lituje, pragnąc istnienia nieszczęśliwych, aby miał się nad kim litować.

Cierpienie więc czasem można pochwalać, nigdy jednak nie można go kochać. Nigdy bowiem nie może ono dotknąć Ciebie, Panie Boże, i właśnie dzięki temu miłość Twa do naszych dusz i miłosierdzie Twoje są niczym nie zmacone i nieporównanie czystsze od naszej miłości i litości. Któż by z nas temu sprostął? Ja zaś wtedy, nieszczęśnik, lubowałem się w smutku. Pilnie szukałem tego, czym mógłbym się smucić. W obrazie cudzej niedoli — choćby była fikcyjna, na scenie — im więcej mi aktor łez wycisnął z oczu, tym bardziej mi się sztuka podobała, tym gorliwiej się jej przysłuchiwałem. Czy można się dziwić, że nieszczęsna owca, która odłączyła się od Twego stada i błąkała się zbuntowana przeciwko Twojej opiece, takim wstrętnym świerzbem się okryła? Stąd się wywodziło moje upodobanie do smutku. Nie było ono takie, żebym chciał smutek głębiej w siebie wchłonać. Bynajmniej nie chciałem, żeby mnie w życiu spotkało to, co oglądałem na scenie. Po prostu lubiłem słuchać takich fikcji, które po wierzchu skórą mi drapały. Podobnie jednak jak wtedy, gdy ktoś się drapie paznokciami, skóra czerwieniła się, zaogniała, ropiała okropnie. Takie było moje życie. O Boże, czy mogę to nazwać życiem?

3. Ale unosiło się nade mną, wysoko, wysoko w górze, wierne miłosierdzie Twoje. Wyczerpywałem się w niemoralności i daleko zaszedłem po drodze ciekawości bezbożnej, oderwawszy się od Ciebie; dotarłem aż na dno zwątpienia i w sam gąszcz podstępnych kultów diabelskich.

Składałem tam w ofierze moje czyny niegodziwe, a Ty za każdy z nich wymierzałeś mi chłostę. Ośmielałem się nawet podczas Twych uroczystości, w murach Twego kościoła, oddawać pożądaniu i troszczyć się o zapewnienie sobie owoców śmierci. Za to karałeś mnie surowo. Lecz owe kary

niczym były wobec moich win, o bezgranicznie miłosierny Boże, ucieczko moja przed strasznymi niebezpieczeństwami, wśród których się błąkałem z dumnie podniesioną głową, daleko odchodząc od Ciebie, kochając moje drogi, a nie Twoje, kochając wolność zbiega. W tym samym czasie odbywałem też studia, które uważa się za godne uznania. Miały mnie one przygotować do tego, żebym się wyróżnił w rozprawach sądowych, tym większe zbierając pochwały, im więcej będę oszukiwał. Tak wielka jest ślepotą ludzi, że chlubią się nawet ślepotą.

Byłem już wówczas u szczytu studiów retorycznych, cieszyłem się tym i nadymałem wielką pychą. Ty wiesz jednak, Panie, że zachowywałem się znacznie spokojniej niż tak zwani wywrotowcy; to dzikie, wręcz diabelskie miano uchodziło za symbol niezwyklej elegancji. Trzymałem się z dala od wzniecanych przez tych ludzi awantur.

Ale stykałem się z nimi w codziennym życiu i odczuwałem przewrotny wstyd, że nie byłem taki jak oni; nieraz zabiegałem o przyjaźń różnych ludzi z tego kręgu. Czyny ich jednak zawsze mnie mroziły. Po łobuzersku, uwłaczali oni godności nieznajomych, szydzili z nich bez żadnego z ich strony powodu i stąd czerpali niegodziwą uciechę. Trudno mi wskazać coś, co byłoby podobniejsze do działania diabelskiego. Czyż więc określenie „wywrotowcy” nie było dla nich najwłaściwszym mianem? Starając się wszystko wyrócić na opak, sami też byli przewrotni; szydziły z nich i tajemnie igrały nimi złe duchy właśnie dlatego, że oni lubili zwodzić i wyśmiewać innych.

4. W ich towarzystwie studiowałem w owych niedojrzałych jeszcze latach książki poświęcone sztuce oratorskiej, w której chciałem zabłysnąć, aby dogodzić marnym ambicjom mojej próżności ludzkiej. W zwyczajnym porządku studiów natrafiłem wówczas na jedną z książek autora imieniem Cyncero, którego styl podziwiają

wszyscy bardzo, a jego ducha — już nie tak. Książka ta zawiera zachętę do filozofii, a nosi tytuł *Hortensjusz*. To właśnie ona zmieniła uczucia moje i ku Tobie, Panie, zwróciła moje modlitwy, i nowe, odmienne wzbudziła we mnie życzenia i pragnienia. Przed mymi oczyma zmarniały nagle wszystkie ambicje światowe. Niewiarogodnym wprost żarem serca zacząłem tęsknić do nieśmiertelności, jaką daje mądrość. I już się zacząłem podnosić, aby do Ciebie wrócić. Nie do kształcenia stylu (choć na taki właśnie cel łożyła środki materialne moja matka w owym dziewiętnastym roku megożycia, gdy ojciec już od dwóch lat nie żył) — nie do kształcenia stylu posługiwałem się tą książką. Wywarła na mnie wpływ nie stosowanym w niej sposobem mówienia, ale tym, co mówiła. Jak gorąco pragnąłem, Boże mój, o, jakże ja pragnąłem odlecieć od rzeczy ziemskich do Ciebie! A nie wiedziałem, co czyniłeś ze mną; w Twojej mocy jest mądrość. Umiłowanie zaś mądrości, jakie we mnie rozniecała ta książka, nosi greckie miano: filozofia. Są tacy autorzy, którzy pod pozorem głoszenia filozofii wodzą czytelników na manowce; wielkim, błogim, czcigodnym jej mianem barwią i upiększają swoje rojenia. Prawie wszystkich tego rodzaju autorów, jacy żyli w jego czasach i wcześniej, autor mienia i demaskuje w tej książce. Można dzięki temu zrozumieć słuszność upomnienia, jakie z Twego ducha przekazał dobry i pobożny sługa Twój, apostoł Paweł: „Baczcie, aby was kto nie zwiódł i nie wziął do niewoli przez filozofię oraz przez czcze urojenia oparte na podaniach ludzkich i na żywiołach tego świata, a nie na Chrystusie. Bo w Nim cała pełność bóstwa zamieszkuje cieleśnie”¹

Jeszcze nie znałem wówczas — Ty dobrze wiesz o tym, Światłości serca mego — tych słów apostoła, ale już cieszyło mnie w owej książce przynajmniej to, że zachęcała nie do takiej czy innej sekty, lecz do umiłowania samej mądrości,

jakabykolwiek ona była, do szukania jej, kroczenia jej tropami, uchwycenia się jej, przywarcia do niej z całej mocy. Zapalało mnie to, płonąłem. A żarliwość ta stygła we mnie tylko przez to, że nie było tam imienia Chrystusa. Dzięki Twemu miłosierdziu bowiem to imię Syna Twego, mego Zbawcy, już z mlekiem matki moje serce w dzieciństwie wchłonęło w siebie pobożnie i bardzo głęboko przechowywało. I jeśli gdzieś brakło owego imienia, to choćby dzieło miało najwytworniejszą formę literacką i głosiło rzeczy prawdziwe, nie mogło porwać mnie całego.

5. Postanowiłem więc zbadać księgi Pisma Świętego, sam się przekonać, co w nich się kryje. I oto widzę coś, co przekracza umysł pysznych, ale dzieciom też nie jest dostępne. Wchodzimy tam nad niskim progiem, a potem wznosi się nad nami wyniosłe sklepienie, spowite w tajemnice. Wówczas jeszcze nie dorosłem do tego, bym potrafił tam wejść i tak ugiąć karku, by móc wędrować przez tę dziedzinę.

Nie odczuwałem cech Pisma Świętego w taki sposób, jak je teraz określam; raczej wydało mi się nie dość dostojne, gdy je porównywałem z monumentalną prozą Cyserona. Moja pycha nie chciała się pogodzić z właściwą Pismu miarą stylu. Brakowało mi też dostatecznej przenikliwości abym się zdołał przedrzeć do głębi tych Ksiąg. Nie ma wątpliwości, że w miarę, jak dziecko rośnie, Pismo rośnie z nim razem. Lecz ja w swej pysze nie chciałem być dzieckiem. Nadęty, wydawałem się sam sobie wielkim człowiekiem.

6. I niebawem wpadłem w towarzystwo ludzi zarozumiale bredzących, pogrążonych w sensualizmie i w gadulstwieⁱⁱ W ich teoriach kryły się sidła naprawdę diabelskie, pokryte zdradnym lepem, przywoływaniem zgłosek imienia Twego, a także imienia Chrystusa Pana i imienia Pocieszyciela, Ducha Świętego.

Miana te nigdy nie schodziły z ich warg, lecz tylko jako dźwięki głośno wykrzykiwane. W sercach bowiem prawdy nie było. Ciągłe mówili: „Prawda! Prawda!” Uparcie to wokół mnie mówili; a nie było w nich żadnej prawdy. Rozprawiali fałszywie nie tylko o Tobie, któryś jest samą Prawdą, lecz także o żywiołach świata, które stworzyłeś. A przecież w tej dziedzinie zagadnień powinienem był nawet filozofów mówiących prawdę przekroczyć ze względu na miłość do Ciebie, dobry mój Ojczy, Panie najwyższy, któryś pięknnością jest wszystkich rzeczy pięknych. O Prawdo, Prawdo, jakże boleśnie już wtedy z głębi duszy wzdychałem do Ciebie, gdy tamci ciągle wokół mnie wrzeszczeli, wykrzykując Twe miano w najprzeróżniejszych teoriach, wymachując niezliczonymi, wielkimi księgami! To były talerze, na których mnie, łaknącemu tylko Ciebie, zamiast Ciebie podawali słońce i księżyc, piękne dzieła Twe, na pewno piękne, ale jednak tylko dzieła. Twoje — one nie są Tobą ani nie są nawet najważniejszą częścią stworzenia.ⁱⁱⁱ Pierwszeństwo mają przed nimi Twoje dzieła duchowe, choćby tamte wielkie twory materialne ogromną jasnością gorzały na niebie. A ja nawet nie dzieł największych, lecz Ciebie samej, Prawdo, Ciebie, w której nie ma odmiany ani cienia zmienności, pragnąłem i łaknąłem. A na owych talerzach przynoszono mi wizje pełne blasku. Już lepiej byłoby kochać samo słońce, przynajmniej dla oczu realne, niż takie urojenia, jakimi oczy ludzka umysł. Spożywałem ten pokarm biorąc go za Ciebie — bez chęci jednak, gdyż smak, jaki czuło moje podniebienie, nie był Twoim smakiem. Przecież nie były Tobą owe zmyślenia jałowe. I nie pożywiałem się nimi, lecz raczej coraz bardziej głodniałem. Pokarm, który się śni, jest zupełnie podobny do pokarmu spożywanego na jawie, ale nie odżywia śniących, bo oni tylko śnią, że jedzą. To zaś, co mi podawano, nie było nawet w żadnym stopniu podobne do Ciebie, Prawdo, takiej,

jaka przemówiłaś do mnie potem. Były to widma rzeczy, pozorne przedmioty, od których znacznie pewniejsze są te rzeczywiste przedmioty materialne, jakie oczyma cielesnymi dostrzegamy czy to na ziemi, czy na niebie. Widzimy je nie tylko my, widzą je również zwierzęta i ptaki; przedmioty te są pewniejsze od naszych wyobrażeń o nich. Nasze zaś wyobrażenia są z kolei pewniejsze od owych większych, nieskończonych rzeczy, jakich istnienia mielibyśmy się domyślać na podstawie znajomości rzeczy widzialnych; tamte w ogóle nie istnieją. A właśnie nimi mnie karmiono — i pozostawałem głodny.

Miłości moja, do której się garnę, abym nabył mocy! Ty przecież nie jesteś ani tymi przedmiotami widzialnymi, choćby jaśniejącymi na niebie, ani nie jesteś jakimiś rzeczami, których tam nie widzimy. Ty, Panie, je stworzyłeś, a nie zaliczasz ich nawet do największych Twoich dzieł. Jakże więc daleko jesteś od owych widm, w które wierzyłem, widm rzeczy, które w ogóle nie istnieją. Od nich pewniejsze są wyobrażenia przedmiotów, które istnieją, a od nich z kolei pewniejsze są same ciała. Ale nimi też nie jesteś. I nie jesteś duszą, która jest życiem ciał; a czymś ważniejszym i pewniejszym jest życie ciał niż same ciała. Ty jesteś życiem dusz, tym, co ożywia życie. Żyjesz, o Życie duszy mojej, własną mocą. Bo samym życiem jesteś, niezmiennym. Gdzież więc byłeś, Panie, w owych dniach? Jak daleko ode mnie? Błąkałem się daleko od Ciebie, odganiany nawet od omłotu, którym wieprze karmiłem.³ O ileż lepsze byty bajki gramatyków i poetów niż te oszustwa! Wiersze i poematy, razem z Medeą w wozie skrzydlatym, z pewnością więcej już są warte niż pięć żywiołów o różnych barwach dostosowanych do pięciu jaskiń ciemności. Bo tych rzeczy w ogóle nie ma; a wierzyć w nie — to śmierć. Wiersze i poematy można odnieść także do spraw rzeczywistych. Kiedy zaś deklamowałem o

locie Medei, nigdy nie twierdziłem, że tak było naprawdę. Gdy słuchałem takiej deklamacji, też nie wierzyłem w tę baśń. A w tamte teorie wierzyłem.

Jakże straszne były te stopnie, po których zstępowałem w głąbiny piekła, trawiony gorączką, rozpaczą, że nie znam prawdy, gdy Ciebie, Boże mój — Tobie teraz się spowiadam, Tobie, który ulitowałeś się nade mną, kiedy jeszcze się nie spowiadałem — gdy Ciebie szukałem nie według roztropności umysłu, jakim odróżniłeś mnie od zwierząt, lecz tylko według zmysłowego rozeznania. A Ty byłeś bardziej wewnątrz mnie niż to, co we mnie było najbardziej osobiste, a zarazem wyżej nade mną, niż mogłem myślał sięgnąć kiedykolwiek. Natknąłem się na tę niewiastę z przypowieści Salomona, głupią a zuchwałą, która siedząc na stołku w drzwiach swego domu wzywa: „Chleby potajemnie zdobyte jedzcie z radością, słodką wodę kradzioną pijcie!”^{iv} Ta mnie uwiodła, bo byłem na dworze, przed jej drzwiami, w świetle oglądanym oczyma cielesnymi, i to w sobie przetrawiałem, co przez oczy wchłonać mogłem.

7. Nie znałem innych rzeczy naprawdę istniejących. A moje pozornie bystre rozumowanie sprawiało, że ulegałem^v argumentom oszustów głupich, gdy mnie pytali: „Skąd pochodzi zło? Czy Bóg ograniczony jest formą fizyczną? Czy ma włosy i paznokcie? Czy można uznać za moralnych takich ludzi, którzy mają więcej niż jedną żonę naraz albo którzy zabijają innych ludzi, czy wreszcie składają na ofiarę żywe stworzenia?”

Niewiedza moja była tak głęboka, że tego rodzaju pytania stawały się dla mnie źródłem niepokoju. A odchodząc od prawdy, łudziłem się, że się do niej zbliżam. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że zło jest usuwaniem dobra aż do momentu, gdy już w ogóle dobra nie ma. Skąd miałem się o tym

dowiedzieć, skoro oczyma dostrzegałem tylko materialne przedmioty, a umysłem tylko widma przedmiotów?

Nie wiedziałem też, że Bóg jest duchem, istotą nie mającą członków, których długość i szerokość można by mierzyć, i nie mającą masy. Część bowiem masy jest mniejsza niż jej całość. Jeśli zaś masa jest nieskończona, to w każdej swej części, którą można obwieść określonymi granicami, jest mniejsza niż w swej nieskończoności. I nie jest cała we wszystkich miejscach — jak duch, jak Bóg. Żadnego też nie miałem pojęcia o tym, co w nas sprawia, że jesteśmy podobni do Boga, i czy słusznie Pismo mówi o nas, że jesteśmy stworzeni na obraz Boży.

Nic też nie wiedziałem o prawdziwej sprawiedliwości wewnętrznej wyrokującej nie według konwencji, lecz według nieomylnie słusznego prawa wszechmocnego Boga. To według owego prawa kształtują się obyczaje krajów i czasów, dostosowane do każdego miejsca i każdej epoki, podczas gdy samo prawo jest zawsze i wszędzie sobą, a nie jest raz takie, innym zaś razem — czy gdzie indziej — inne. Według niego moralny był Abraham, Izaak, Jakub, Mojżesz, Dawid i wszyscy inni mężowie pochwaleni przez Boga. Tylko ludzie nieświadomi uważają ich za niemoralnych, oceniając ich tylko według ludzkiej miary, a wszelkie obyczaje ludzkości według własnych lokalnych obyczajów. Podobni są do człowieka, który nie wiedząc, jaka część uzbrojenia dla jakiego członka jest przeznaczona, chciałby głowę okryć nagolenicą, a hełm przywdziać na stopę — i jeszcze narzekał, że to wszystko jakoś nie pasuje. Albo do kupca, który w dniu, gdy od godzin popołudniowych ogłoszono święto publiczne, skarży się, że nie może w swym sklepie sprzedawać — chociaż wolno mu było sprzedawać tego samego dnia rano. Albo do kogoś, kto by spostrzegł, że w jakimś domu jeden ze sług dotyka przedmiotów, do których nie wolno się zbliżać podчасem,

albo że w stajni dzieją się rzeczy, które są zabronione przy stole — i oburzał się, że w jednym i tym samym domu, gdzie żyje jedna i ta sama rodzina, nie w każdym miejscu i nie każdemu na to samo się pozwala. Podobne zarzuty stawiają ci, którzy się oburzają, że w dawnych czasach było dla moralnych ludzi dozwolone coś, czego w naszych czasach moralnym ludziom się zabrania, i że ze względu na odmiennność epok Bóg co innego nakazał tamtym, niż nakazuje nam, chociaż tej samej sprawiedliwości i oni służyli, i my służymy. A przecież wtedy, gdy mają do czynienia z jednym człowiekiem albo z jednym dniem, albo z jednym domem, doskonale rozumieją, że każda część całości ma w niej inną funkcję; że coś przed godziną było dozwolone, a oto w tej chwili już jest zakazane; że tego samego, co w jednym zakątku domu jest dozwolone albo nawet nakazane, w innym jego miejscu słusznie się zabrania jako czynu godnego kary. Czyż sprawiedliwość jest różnoraka i zmienna? Nie. Lecz czasy, nad którymi panuje, nie jednakim torem biegną. Są bowiem czasami. Człowiek krótko żyje na ziemi, nie może więc na podstawie własnych spostrzeżeń porównać warunków nie znanych mu dawnych epok i obcych narodów z takimi warunkami, z jakimi sam się styka. Ale w odniesieniu do jednego człowieka albo jednego dnia, albo jednego domu łatwo może dostrzec, co się należy każdemu członkowi, w jakich momentach, w jakich miejscach. To ludzie uznają; tamto ich oburza.

Nic o tym wówczas nie wiedziałem, nie rozumiałem tego, nie zauważałem, chociaż to wprost biło w oczy. Gdy układałem wiersze, nie wolno mi było umieszczać dowolnej stopy w dowolnym miejscu. W każdym metrum trzeba było stopy układać inaczej. Także w jednym i tym samym wierszu nie w każdym miejscu można było umieścić taką samą stopę. A jednak sama sztuka poetycka, według której układałem

wiersze, nie jest raz taka, innym razem inna; lecz wszystkie reguły jednocześnie w sobie zawiera. A nie pojmowałem tego, że sprawiedliwość, której owi dobrzy i święci ludzie służyli, w nieporównanie doskonalszym i wznioślejszym stopniu zawiera w sobie jednocześnie wszystko to, co Bóg nakazał, i w żadnej mierze się nie zmienia. Ona tylko poszczególnym epokom przyznaje i zaleca nie wszystko naraz, lecz rzeczy im właściwe. I w swej ślepotie ganiłem pobożnych patriarchów nie tylko za to, że w swoich czasach postępowali według nakazu i natchnienia Boga, lecz i za to, że zapowiadali przyszłość według tego, co Bóg im objawił.

8. Na pewno nigdy i w żadnym miejscu nie jest to niewłaściwe: kochać Boga z całego serca, z całej duszy i z całej myśli i kochać bliźniego jak siebie samego.^{vi} Dlatego grzechy przeciw naturze, jak te, które popełniali sodomici, wszędzie i zawsze zasługują na potępienie i karę. Choćby je popełniały wszystkie ludy, wszystkie byłyby na mocy prawa Bożego uznane za tak samo zbrodnicze. Bóg bowiem nie stworzył ludzi do tego, żeby się sobą w taki sposób posługiwali.

Kiedy wspólną naturę, której On jest Twórcą, bruka się przewrotną namiętnością, zarazem pogwałcona zostaje wspólnota, jaka powinna nas łączyć z Bogiem. Występków zaś przeciwko ludzkim zasadom postępowania należy unikać zależnie od zmian obyczajów. Konwencji panujących w państwie albo w plemienu, utwierdzonych odziedziczonym obyczajem albo prawem, żaden obywatel ani cudzoziemiec nie powinien naruszać dla dogodzenia swym chęciom. Źle jest bowiem, kiedy część nie harmonizuje z całością, do której należy. Ale jeśli Bóg nakazuje coś sprzecznego z obyczajami albo prawami jakiegoś społeczeństwa, to choćby nigdy przedtem tego nie czyniono, teraz trzeba uczynić; jeśli to jest

coś, czego od dawna zaniechano, trzeba przywrócić; jeśli to dotychczas nie było prawem, ma się teraz stać prawem. Król może przecież w swoim państwie nakazać coś, czego nikt przed nim ani on sam dotychczas nie nakazywał. Posłuszeństwo wobec jego rozkazów nie jest sprzeczne z interesami ludzi żyjących w tym państwie; raczej nieposłuszeństwo byłoby z tymi interesami sprzeczne, gdyż jest w społeczeństwach ludzkich ogólnie przyjęta zasada, że należy słuchać królów. O ileż bardziej trzeba bez wahania spełniać wolę Boga panującego nad wszechświatem, który stworzył! Jak w hierarchii ludzkiego społeczeństwa każda niższa władza musi podlegać wyższej, tak Bogu musi się podporządkować wszystko.

To samo, co dotyczy grzechów przeciw naturze, dotyczy też zadawania gwałtu czy to słownie, czy czynnie. W obu wypadkach, bodźcem do działania jest albo pragnienie zemsty, jak to się dzieje w starciu nieprzyjaciół; albo napada się na kogoś w celu zrabowania jego dobytku — tak napadają zbójcy na podróżnych; albo chodzi o uniknięcie niebezpieczeństwa, jak wtedy, gdy człowiek napada na kogoś, przez kogo czuje się zagrożony. Może też bodźcem być zazdrość, jak wtedy, gdy człowiek, któremu gorzej się powiodło, napada na tego, komu powiodło się lepiej. Może też człowiek robiący karierę atakować kogoś, czyjej konkurencji albo obawia się na przyszłość, albo już teraz nie chce znosić. Mogą się też dziać takie rzeczy dla samej satysfakcji oglądania cudzego nieszczęścia, jak wtedy, gdy ludzie się przypatrują walkom gladiatorów albo gdy kogoś wystawiają na pośmiewisko i w ogóle gdy szydzą z innych.

Takie są główne rodzaje grzechów. Wynikają one z żądz władzy, z ciekawości i ze zmysłowości — albo z jednej z tych skłonności, albo z dwóch, albo ze wszystkich trzech naraz. Z tego powodu życie nasze grzeszy przeciw trzem przykazaniom

i siedmiu przykazaniom, przeciw dziesięciostrunnej harfie, przeciw dziesięciorgu przykazań Twych, o Boże najwyższy, najlepszy.

Lecz jakież grzechy zmysłowe mogą być zwrócone przeciw Tobie, którego naruszyć nie można? Jakież czyny gwałtowne mogą być wymierzone przeciw Tobie, którego nie można zranić? Ale Ty karzesz za to, co ludzie przeciw sobie nawzajem popełniają. Bo przecież, grzesząc przeciw Tobie, niegodziwie szkodzą własnym duszom i nieprawość samą siebie zwodzi — gdy wypaczają swą naturę, którą Ty stworzyłeś i uporządkowałeś. Burzą ten ład, gdy rzeczami dozwolonymi posługują się bez umiaru, jak też wtedy, gdy w gorączce sięgają po rzeczy niedozwolone, aby się nimi posłużyć do celu sprzecznego z naturą. Albo wina ich polega na tym, że w myślach i słowach buntują się przeciw Tobie i przeciw ościeniowi wierzgają. Albo zuchwale rozrywają więź społeczeństwa ludzkiego i kierując się osobistymi sympatiami i niechęciami szukają satysfakcji w spiskach i przewrotach. Tak się dzieje wtedy, gdy odstępujemy od Ciebie, który jesteś źródłem życia, jedynym prawdziwym Stwórcą i Rządcą wszechświata. Człowiek opanowany pychą obdarza nieprawą miłością jakąś część całości samowolnie wybraną. Stąd wrócić do Ciebie można tylko szlakiem pokory i pobożności. Ty oczyszczasz nas, uwalniasz od złych obyczajów, miłosiernie wybaczasz grzechy, które wyznajemy, wysłuchujesz skarg więźniów, łańcuchy, któreśmy sobie wykuli, rozwiązujesz — to wszystko się nam spełni, byleśmy tylko nie wznosili przeciw Tobie rogów rzekomej naszej wolności i byleśmy w chciwości posiadania więcej, zagrożeni utratą wszystkiego, nie kochali bardziej naszego własnego dobra niż Ciebie, któryś jest dobrem wszystkich.

9. Wśród przestępstw, gwałtów i przeróżnych sposobów czynienia zła są też grzechy tych, którzy stopniowo zmierzają ku lepszemu. Ludzie o trafnych poglądach ganią ich z punktu widzenia reguły doskonałości, ale też patrzą na nich z nadzieją, ufając, że wydadzą oni w przyszłości lepsze owoce, podobnie jak po młodej runi spodziewamy się kłosów. Są też rzeczy mające pozory występków, a jednak nie będące grzechami, gdyż ani nie obrażają Pana Boga, ani nie naruszają więzi społecznej. Tak jest na przykład wtedy, gdy ktoś gromadzi zapas dóbr dla potrzeb życiowych w obawie, że nadejdą ciężkie czasy; nie jest wcale pewne, że jest skąpcem. Albo wymierzają ludziom karę ci, których zadaniem jest troska o karcenie występków; wcale nie jest pewne, że powodują się okrucieństwem. Wiele rzeczy, które ludziom wydają się godne potępienia, Ty w świetle swej wiedzy uznajesz za słuszne. A z drugiej strony wiele z tego, co ludzie pochwalają, Twoje świadectwo potępia. Często bowiem pozór czynu różni się głęboko od intencji sprawcy; a okoliczności czynu mogą być bardzoniemasne. Kiedy więc Ty nakazujesz nagle coś niezwykłego i nieprzewidzianego, nawet coś takiego, czego dotychczas zakazywałeś, ktoś może wątpić, że należy to uczynić — choćbyś na razie ukrywał przyczynę Twego nakazu i choćby nakaz ten był sprzeczny z panującym w społeczeństwie obyczajem. Ta wspólnota ludzka jest moralna, która służy Tobie. Ale błogosławieni ci, którzy wiedzą, że nakaz pochodzi od Ciebie. Wszystko bowiem, co czynią ludzie służący Tobie, albo jest podyktowane obecną potrzebą, albo jest zapowiedzią przyszłości.

10. Nie rozumiejąc tych spraw, szydziłem ze świętych Twoich sług i proroków. Jedynym skutkiem było to, że zasłużyłem na Twoje szyderstwo. Stopniowo doprowadzono mnie do wierzenia w niesłychane brednie: że figa płacze, gdy się ją zrywa, a jej drzewna matka leje wtedy łzy macierzyńskiego mleka. Jeśliby

jednak tę figę zjadł ktoś uświęcony (zbrodnię jej zerwania z drzewa popełniłby oczywiście nie on, lecz ktoś inny), zmniejszałyby się z jego wnętrznościami i potem wytchnąłby on z niej aniołów, a raczej cząsteczki samego Boga, wyrzucając je z siebie wtedy, gdy jęczy w modlitwie. Te cząsteczki najwyższego, prawdziwego Boga byłyby nadal związane w owym owocu, gdyby z niego nie zostały uwolnione w ustach i w żołądku uświęconego wybrańca. I uwierzyłem, nieszczęśnik, że większe trzeba okazywać miłosierdzie płodom ziemi niż ludziom, dla których one były przeznaczone. Gdyby bowiem ktoś, kto nie jest manichejczykiem, zgłodniały prosił o pożywienie, manichejczycy uważaliby, że podanie mu kromki chleba skazuje ją na śmierć.

11. Ale wyciągnąłeś rękę z wysoka i wydobyłeś duszę mą z tej ciemnej przepaści. Bo przed Tobą płakała nad moja dolą wierna Ci matka moja, bardziej niż płaczą matki nad mogiłami dzieci. W świetle bowiem wiary i ducha, którego miała z Ciebie, uważała mnie za umarłego. I wysłuchałeś ją, Panie, wysłuchałeś, nie pogardziłeś łzami, co rzęsiście spływały z jej oczu na ziemię w każdym miejscu, gdzie się modliła. Wysłuchałeś ją. Bo jakże inaczej można by wytłumaczyć ten sen, przez który udzieliłeś jej takiej pociechy, że zgodziła się mieszkać ze mną i jadać przy tym samym stole w naszym domu, czego w ostatnim okresie odmawiała, ze zgrozą odsuwając się od moich błędów bluźnierczych. Śniło się jej mianowicie, że stoi na drewnianej belce do mierzenia, a oto kroczy ku niej młodzieniec jaśniejący i uśmiecha się do niej radośnie, chociaż ona była przygnębiona i smutna. Zapytał ją, dlaczego tak się smuci i każdego dnia tyle łez wylewa (nie jakoby nie wiedział, lecz po to, aby jej coś potem oznajmić, jak zwykle się dzieje w widzeniach). Gdy odpowiedziała, że nad zgubą moją płacze, kazał jej, żeby była spokojna i żeby

przypatrzyła się uważnie: niech zobaczy, że gdzie jest ona, tam i ja jestem.

Gdy spojrzała, zobaczyła, że stoję przy niej na tej samej belce. Czymże to można wytłumaczyć, jeśli nie tym, żeś głosu jej serca wysłuchał?

O najlepszy i wszechmocny, który tak się troszczysz o każdego z nas, jakbyś tylko nim jednym się opiekował, i tak czuwasz nad wszystkimi, jakby każdy był dla Ciebie tym jedynym. Jakże inaczej można by wytłumaczyć i to, że gdy mi opowiedziała widzenie, a ja próbowałem interpretować je tak, jakoby nie powinna wątpić, że to ona kiedyś stanie się tym, czym ja byłem — odparła natychmiast, bez żadnego wahania: „Nie! On mi nie powiedział: «Gdzie on, tam i ty», lecz przeciwnie: «Gdzie ty, tam i on»". Nieraz już to wspominałem i oto jeszcze raz przed Tobą, Panie, wyznaję, starając się dokładnie sobie przypomnieć, jak wielkie wrażenie uczyniła na mnie ta odpowiedź, której mi udzieliłeś przez usta mojej matki. Nie zwiódła jej ani przez chwilę moja błędna, a mająca tak wielki pozór prawdy interpretacja snu. Ona od razu zrozumiała to, co trzeba było pojąć, a czego ja zupełnie nie dostrzegłem, dopóki ona mi nie powiedziała. Poruszyło mnie to jeszcze bardziej niż sam ów sen, w którym radość mająca nadejść znacznie później została tej pobożnej kobiecie na tak wiele czasu naprzód zapowiedziana, aby ją w jej udreće pocieszyć. Bo miało jeszcze upłynąć prawie dziewięć lat, podczas których nurzałem się głęboko w bagnie i ciemności fałszu. Nieraz usiłowałem się z niego wydobyć, miotalem się, ale wtedy błoto jeszcze gęściej mnie oblepiało i głębiej zapadałem.

A przez cały ten czas owa cnotliwa, pobożna i roztropna kobieta, taka wdowa, jaka bliska jest Twemu upodobaniu, już podniesiona na duchu owym widzeniem, lecz wcale nie mniej płacząca nadal, wzdychająca ku Tobie, każdej godziny wśród

wielu łez zanosila w mojej intencji modlitwy do Ciebie. Docierały jej modlitwy przed oblicze Twe; a jednak pozwalales, abym nadal się miotal i omotywal w ciemności.

12. Jak pamiętam, jeszcze raz przemówiles w owym okresie do niej. Wiele zresztą spraw pomijam, bo spiesznymi jest do innych, które jeszcze gorliwiej pragne Ci wyznać; a wiele też szczegółów zapomnialem. Ale pamiętam, że dales jeszcze jedną odpowiedź na jej modlitwy, tym razem przez usta Twego kapłana, pewnego biskupa, który życie spędzil w Kościele i dobrze znal Twoje Księgi. Moja matka prosila go, by zechcial ze mną porozmawiac i odeprzec moje błędy: wybić mi z głowy złe przekonania, a zaszczepić poglądy właściwe. Ów biskup nieraz to czynil, gdy spotykail odpowiednich sluchaczy. Ale tej prośbie odmowil, co bylo — jak później zrozumialem — na pewno rozsądne.

Powiedzial, że jeszcze nie dojrzałem do sluchania pouczeń. Szumiala mi bowiem w głowie nowość owej herezji, a wielu prostych ludzi udawalo mi się zaskoczyć moimi sofizmatami, jak o tym ona sama biskupowi opowiedziala. „Zostaw go — rzekł — i tylko módl się za niego do Pana. Sam studiujac odkryje, jak nedorzeczny to jest bład i jak niegodziwa bezbożność.”

Jednocześnie opowiedzial jej, że jego samego jako dziecko własna matka, której zamacono w głowie, oddala na wychowanie manichejczykowi i nie tylko przeczytal onprawię wszystkie ich księgi, ale nawet sporzadzil ich odpisy. I chociaż nikt mu nie wyjasnil, jak się sprawy maja, sam zrozumial, że trzeba od tej sekty uciec jak najdalej, i opuścił ją. To wszystko jeszcze nie przekonalo mojej matki. Nadal placzac, blagal go, by zechcial się ze mną spotkac i podyskutowac. W końcu, już zniecierpliwiony, rzekł: „Zostaw

mnie, idź w pokoju. Nie może się to stać żeby syn takich łez miał zginąć".

W późniejszych latach nieraz mi mówiła, że słowa te przyjęła jako orędzie z nieba.

ⁱ 1 Kol 2, 8—9.

2. Chodzi o manichejczyków, wyznawców nauki Manesa.

ⁱⁱ 3 Por. Łk 15, 16. 4 Por. Prz 9, 17

ⁱⁱⁱ

^{iv} 5 Por. Mt 22, 37—39.

^v